

KŁĘSKA PLANU „BARBAROSSA”

Sztrały, które o świcie 22 czerwca 1941 r. wyrwały ze snu mieszkańców Ukrainy i Białorusi, rozpoczęły jedną z najbardziej krwawych a zarazem najbardziej pouczających wojen w historii świata.

Po ośmiu latach terroru w Niemczech, po zagarnięciu jedenastu państw europejskich, po dwuletnich niemal wojennych doświadczeniach w Polsce i na zachodzie Hitler przystępował do realizacji głównego zadania powierzonego mu przez imperialistów niemieckich i międzynarodowy kapitał — do napaści na Związek Radziecki.

Zawczasu starannie opracowany plan agresji, oznaczony kryptonimem Barbarossa, opierał się na doktrynie wojny błyskawicznej, która tak owocne skutki przyniosła na wszystkich frontach Europy. Dowództwo hitlerowskie wykorzystowało wszelkie atuty, jakie daje moment zaskoczenia. Sztab berliński skoncentrował na froncie wschodnim 170 wyborowych dywizji, wspieranych siłami zbrojnymi faszystowskich Włoch, Finlandii, Węgier i Rumunii. Armie te zaopatrywane były przez przemysł wojenny prawie całego kontynentu europejskiego. Plan Barbarossa przewidywał uderzenie na froncie od Bałtyku do Morza Czarnego, przy czym szczególne znaczenie przywiązywano do ataku na Moskwę.

Żaden jeszcze kraj w dziejach nie spotkał się z napaścią tak potężnych sił wroga, na tak szerokim froncie. W sztabie Wehrmachtu obliczono, że stolica ZSRR padnie w ciągu trzech tygodni od chwili rozpętania wojny. Na Ural zamierzano dotrzeć z końcem sierpnia. Aczkolwiek te głośno reklamowane przez Goebbelsa terminy zawodziły, 3 października 1941 roku Hitler z niewzruszoną butą stwierdził: „Dziś mogę powiedzieć, że nieprzyjacieli jest złamany i nigdy już więcej nie podniesie się. Od 48 godzin trwa gigantyczna operacja, która ostatecznie zakończy wojnę”. I tym razem i potem jeszcze niejednokrotnie Fuehrer musiał prolongować terminy swych przepowiedni.

Wojna — jak wiadomo — nie zakończyła się jednak ani w czasie przewidywanym przez Hitlera, ani tak jak on sobie tego życzył.

2 maja 1945 r. na szczycie Reichstagu powiewały zwycięskie sztandary radzieckie. Armia Czerwona obroniła swą ojczyznę, przyniosła na swych bagnietach wolność ciemniemu narodowi. Zwycięstwu oręża radzieckiego zawdzięcza Polska swe wyzwolenie narodowe i społeczne, utrwalenie swej niepodległości i możliwość budowy socjalizmu.

Przez długie lata propaganda burżuazyjna i teoretycy wojskowi zachodu przekonywali siebie i wmawiali opinii publicznej, że można pokonać Związek Radziecki,

że można rozgromić jego siły militarne.

W chwili, gdy Hitler rozpoczął swą wyprawę na ZSRR, nie tylko Berlin zachłystywał się komunikatami o swym rychłym triumfie. Również znani po dziś dzień ze swej „daleko-wzroczności” czołowi stratedzy anglosascy, brytyjski feldmarszałek Montgomery oraz amerykański generał Marshall, wiedli wielce fascynujące spory o to, czy pierwsze państwo proletariackie przestanie istnieć w ciągu 6 tygodni, czy w ciągu trzech miesięcy. W dyskusji wódzom sojuszników armii dzielnie sekundowała prasa zachodnia.

Mimo jednak potęgę uderzenia wroga, mimo wiaro-

łomnych machinacji i konszachców zachodnich aliantów, państwo zwycięskiego socjalizmu pokonało agresora, wygrało wojnę, wnosząc decydujący wkład w dzieło rozgromienia hitlerowskiej nawały.

Przytoczmy kilka danych historycznych.

W 1941 r. armia radziecka miała przeciwko sobie 170 faszystowskich dywizji. Wbrew wszelkim kanonom ustalonym przez sztab Wehrmachtu, napażnięta znieuczka stawiała zacięży opór i zamiast złożyć broń u stóp „uebermenschów”, zastanowiła aktywną obronę. Pogrom Wehrmachtu pod Moskwą rozwiał mit o niezwyciężoności armii hitlerowskiej.

W 1942 r. agresor skoncentrował na froncie wschodnim prawie o połowę więcej sił niż w poprzednim roku — 240 dywizji. Było to możliwe tylko wskutek kunktatorstwa zachodnich sojuszników sabotujących utworzenie drugiego frontu. W niezmiernie trudnej sytuacji pod Stalingradem, Armia Czerwona wyrwała inicyjatywę z rąk nieprzyjaciela. Świat ujrzał początek zmierzchu armii hitlerowskiej.

W 1943 r., gdy zgodnie ze statystykami anglosaskimi i hitlerowskimi armie USA, Anglii i Kanady liczyły o 3 miliony żołnierzy więcej niż Wehrmacht, Hitler rzucił przeciwko Związkowi Radzieckiemu 257 dywizji.

Drugiego frontu nadal nie było. ZSRR własnymi siłami zmienił tok wojny. Armia Czerwona poczęła gromić napastników. Ogólne straty hitlerowców w tym roku osiągnęły liczbę 4 milionów ludzi, czyli 1/3 uzupełnień uzyskanych dzięki „totalnej mobilizacji”.

W 1944 r. wówczas, gdy już było zupełnie widoczne, że Armia Czerwona w swym zwycięskim pochodzie opłynie całe Niemcy i wyzwoli państwa leżące nawet nad Atlantykiem, anglosasi zorganizowali wreszcie drugi front.

Znamienne, że aczkolwiek 220 dywizji hitlerowskich nadal walczyło na froncie wschodnim, a tylko 75 na zachodnim — to właśnie

Brytyjczycy i Amerykanie znaleźli się w katastrofalnej sytuacji i wobec „przesławnego latania” w Ardenach musieli prosić Związek Radziecki o pomoc. Sprawozdanie Wehrmachtu na dzień 1 listopada 1944 roku stwierdzało, że 89 procent swych strat poniosła armia hitlerowska w walkach z armią radziecką.

W 1945 r. faszysty rzucają hasło „Lepiej oddać Berlin Amerykanom, aniżeli wpuścić do miasta Rosjan”. Całe dywizje hitlerowskie poddawały się bez walki swym przyszłym protektorom — anglosasom. Jednocześnie na linii Odry toczył się jeden z najbardziej zaciętych bojów w historii wojny. A przecież to Armia Czerwona posuwała się naprzód milowymi krokami i tempo działań anglosaskich nie wytrzymywało w ogóle porównania z operatywnością i szybkością wojsk radzieckich.

DZIEJE „CZULEJ NOCY”

Zbigniew Siedlecki

Pióro było źle zacięte, a i papier lichi: to w inkaucie zdarzył się złośliwy papierek, to znowu pióro wyrwało z kartki włókienko, które zamazywało literę... I wreszcie, mimo kobierczyka, który przesłaniał drzwi, z dołu, z gospody dobiegł chóralnie śpiewany refren pijackiej piosenki.

Kochanowski ze złością cisnął pióro na stół i zaczął przemierzać swój pokój od ściany do ściany. Sunął za nim pokraczny, rozczapierzony, raz rosnący, a raz malejący cień — skrzydło nocy, przywiązane świecą do poety.

Pokoik w paryskiej gospodzie był ubożutki: łóżko ze splewiałym baldachimem, dwa kufereki przykryte przywiezionymi z kraju tureckimi makatami, prosty dębowy stół, na którym stał mosiężny lichtarz, kałamarz, cynowy dzban z winem i srebrny kubek.

Blask świecy rzeźbił w mroku postać poety — wysoka, harmonijna sylwetka, czarna waga i broda, falujące włosy, pięknie rzeźbiony nos, wysokie, myślicie czoło. Wszystko to razem zawróciło w głowie niejednej Włoszki, a teraz przyciągało łaskawe spojrzenia paryskich miłośników i szlachcianek.

Kochanowski, założwszy ręce za plecy, nerwowo przemierzał swój pokój. Nie szło mu dziś pisanie. Przeszkadzało źle pióro, zły papier, zły inkaust, odgłosy pijackiej zabawy. Ale nie tylko to. Nade wszystko przeszkadzały niedawno posłyszane słowa: „Zbrodnia jest pomniatac żywym językiem ojczystym, a odrzucać Bóg wie jakie popioły”. Powiedział tak Ronsard.

Ba, nie wymyślił nic nowego. Sto lat przed nim po włosku tworzył Ariosto, Dante „Boską Komedie” pisał językiem, którym mówiła florencka ulica, a Petrarca mowę gminu uszlachetniał swymi sonetami. Oni pisali po włosku, Ronsard po francusku. Wielka mi sztuka! Toć we włoskim dźwięczy ta sama łacina co w heksametrach Vergila, okresach Cicerona i potoczystej prozie Liviusza a we francuskim żywym jeszcze jest dźwięk mowy Latynów, mowy Cezara, który podbił ten kraj i zostawił mu swój język. A polski? Przecież to gąszcz dyssonansowych dźwięków barbarzyńskich sz, cz, ż, szcz, nosowych zawodzeń i a... Przecież to niekształtna, toporna bryla, ledwie wygładzona, aby ją można używać w potocznej, codziennej mowie. Gdzież tu budować okresy? Gdzież odnaleźć płynny, potoczysty, melodyjny rytm — duszę wszelkiej poezji?

Pisano już po polsku, owszem. Imci pan Mikołaj Rej z niezbyt dalekich od Scynia, Nagłowice pisał po polsku wcale składne wiersze. No, ale przecież są to wiersze ciężkie, nieruchawe choć rubaszne. Brak im tej precyzyjnej lekkości, tego dźwięku, który znaleźć można tylko w niezrównanej strofie Horacego i Tibullusa, Lukrecjusza i Owidiusza. Dobrze to dla żartów, dla zabawy przy stole. Ale czy taka pisania może przejść do historii?

A wreszcie cóż u licha może mnie zmusić do pisania barbarzyńskim językiem? Mam już między Włochami sławę jako dobry poeta. I we Francji

o mnie słyszano. Każdy wykształcony człowiek w każdym kraju zrozumie i pochwali moje wiersze. Miałbym rzucić to co zacząłem?

Poeta otworzył kuferek i wyjął pakiet rękopisów. Z czułym uśmiechem przeglądał pod świecą poszczególne kartki. Płynne, klasyczne strofy... Metafory o pięknie wypracowanej przez wieki poezji... Dźwięczny jak metal język... To jego wiersze, dzieła jego ducha.

Ale wnet się zmarszczył. Oto jego elegie do Lydi. Czy jest w nich prawdziwa miłość? Prawdziwa radość? Prawdziwy smutek? Tak właśnie przed półtora tysiącem lat pisał Tibullus i Propertius. W ich wierszach drży uczucie. A w jego wierszach? Czy nie brzmi w nich raczej niewolniczo, za Horacym powtórzone:

„Lydia, dic, per omnes
Te deos oro”...
albo: „Donec gratus aram tibi
Nec quisquam potior brachia
candidae”...

No tak, Lydia nie nazywała się Lydią. Miała na imię Antonina i była córką szynkarki z Padwy. Jej białe ramiona — brachia candidae — na pewno nie były brzydsze niż u Lydi Horacego, ale... czy córka szynkarki przejść może do poezji?

Elegie są nieszczere, sztuczne. Głęboka zmarszczka przecięła czoło młodego poety. Nie tak trzeba pisać. I nagle, jak zgrzyt może po szkło, zadźwięczał mu w myślach wiersz Reja:

„A niechaj narodowie wždy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”.

Rubaszny, dosadny jest polski język. Przykro kłuje ten wiersz. Uderza w ambicję. Przecież Polakiem jestem, a nie Rzymianinem...

Gęś... gęś... cóż za przebrzydłe słowo — gęś nosowym i, szczy barbarzyńskim śśśś... A po łacinie anser — dźwięcznie. I budzi obraz białych ptaków kapitolinnych, których krzyk, niby surmy bojowe, poderwał śpiących wojowników i ocalał Rzym. A gęś... no, zielona, rozległa przestrzeń łąki, wierzby, srebrna smuga strumienia, tęskna nuta fujarki, w którą dmucha płowowłosy, niebieskooki brzdąc...

Wielki a niespodziewany przypływ tęsknoty ogarnął poetę. Opanowała go wizja ojczystych pól, chwiejących się szumiącymi falami wiatru lasów, grających powańkami, przytłumionym szumem. Podeszedł do okna, otworzył je szeroko. Przed nim rozpościerał się ogród klasztorny. Złoty księżyc toczył się zwolna po murach klasztoru, najeżonych gotyckimi iglicami i niebieską poświatą zlewał kopuły drzew.

Poeta stał oparty o parapet, a w jego myślach toczył się dziwny dialog między polskimi a łacińskimi słowami. Nox — po polsku noc, prawie ‘ak samo... Astra — gwiazdy, oba słowa jednakowo dźwięczne. Luna — księżyc, oba słowa piękne. Herba — trawa, rosa — róża, lumen — światło, argentum — srebrzyste... Polskie słowa nabrały

przedwziewnej piękności, zaczęły płynąć w myślach lekko, pulsując doskonałym rytmem, spłotyły się z nocą, gwiazdami, drzewami — z przyrodą i światem.

Teraz już nie przeszkadzało źle zacięte pióro, lichi papier, a nawet świeca, która dopalając się migotała i kopciła, trzęsąc skulonym na ścianie cieniem. Na papier kładły się strofy doskonale piękne, dźwięczne, harmonijne. Lecz nie łacińskie — polskie. Kładły się myśli — lecz nie łacińskie, nie kościelne, nie średniowieczne i scholastyczne. Powstawał panteistyczny hymn, w którym kościelny Bóg zlewał się w jedno z przyrodą — z gwiazdystym niebem, morzem, rosą wieczorną, wiosną i jesienią. Powstawała pierwsza polska liryka — od razu kryształicznie czysta, pełna, dojrzała, która żyć będzie tak długo, jak długo będzie istniał polski język, jak długo polska poezja będzie przemawiała do narodu.

Świeca konała drgając. Ale razem z jej zgonem przemijała i krótka czerwcową noc. Do pokoju coraz śmielej wsacał się blask poranka. Kogut — galijski symbol wstającego słońca — zaniósł się długim, zwycięskim okrzykiem. Z daleka dobiegł ciężki turkot pierwszych wozów na ulicach obcego Paryża.

Kończyła się „czuła noc” poety. Jak wiele od niej zależało! Mógł Kochanowski pozostać łacińskim poetą, wielce przez współczesnych cenionym, o którym dziś w historiach literatury mówiłoby się gwoździem nauki, ścisłości, że taki był i pisał... elegie do Lydi. A został ojcem polskiej liryki. On, który nie wyrobionego jeszcze języka ojczystego odważył się użyć do najpiękniejszej poezji, wrzucił go w służbę najbardziej powiewnych Muz: Eu terpe i Erato — został tym, który, według słów Mickiewicza, podniósł poezję polską do godności europejskiej. Został tym, który pierwszy wyczyszczone klejnoty polskiego języka dał w darze narodowi, całej Słowiańszczyźnie i ogólnoludzkiej kulturze.

Ukochał język ojczysty i jemu powierzył swój talent. Dlatego w dziełach polskiej poezji zajaśniał jako gwiazda pierwszej wielkości, której dorównać zdołał dopiero Mickiewicz i Słowacki. Ukochał swoją ojczyznę, której w szlachetnym patosie „Odprawy Posłów Greckich” rzucał pełne miłości i bólu zarazem przestrogi. Dlatego kochamy go dzisiaj, po czterech wiekach. Jest dla nas wzorem narodowego poety, bo odrzucił pokusy kosmopolitycznej łaciny, tak jak my dzisiaj odrzucamy przegniłe plody dwudziesto-wiecznego kosmopolityzmu.

Wzniósł sobie nieśmiertelny pomnik — swoje dzieło, swą poezję, wciąż jeszcze żywą i piękną. A jeśli my dziś, w epoce budującego się socjalizmu wnosimy mu pomnik w miejscu, które ongiś ukochał — czynimy to dlatego, aby dać widomy, materialny dowód, że złożył się jego nadzieje, o których tak pięknie, w słusznym poczuciu swej wielkości, pisał:

„Jednak mam tę nadzieję, że przedsię
za laty
Nie będą moje czułe noce bez za-
platy...”

Całkowita odmiennność celów, które przyświecały ZSRR i zachodnim aliantom, w czasie wojny, sprawiła, że nie można nawet na jednej płaszczyźnie porównawczej stawiać decydującego wkładu Związku Radzieckiego w dzieło zwycięstwa i mniej czy więcej udanych okresowych operacji armii anglosaskich. Wall Street i City miały potężnego konkurenta w Berlinie, ale nie oznaczało to bynajmniej, że były one zainteresowane w całkowitym zniszczeniu hitlerizmu, w wyzwoleniu Niemiec i innych krajów spod panowania sił reakcyjnych. Przeciwnie, w całej rozciągłości doceniały one swoistą „doskonałość” dyktatury Adolfa Hitlera, doceniały jej znaczenie dla hamowania sił postępu. Wiązały wielkie nadzieje z osłabieniem Związku Radzieckiego w toku wojny.

W imieniu Kraju Rad natomiast, wódz narodu, i organizator zwycięstwa w drugiej wojnie światowej, Józef Stalin, stwierdził: „Celem tej ogólnonarodowej wojny przeciwko ciemnościom faszystowskim jest nie tylko usunięcie niebezpieczeństwa, które zawisło nad naszym krajem, ale i udzielenie pomocy wszystkim narodom Europy jęczącym w jarzmie hitlerowskiego faszystu.”

Różnice te, które tak wyraźnie zarysowały się w toku wojny, pogłębiały się w czasie pokoju. Imperialiści anglosascy chcą restaurować hitlerizm. Związek Radziecki nieugięcie broni sprawy wolności narodów i bezpieczeństwa międzynarodowego.

Są ludzie, są koła, które nie potrafią wyciągnąć wniosków z wielkich i pouczających lekcji historii. A tymczasem historia wskazuje, że nie ma siły, która byłaby zdolna pokonać pierwsze państwo socjalistyczne, broniące idei swobody, postępu i trwałego pokoju.

F. Chrzanowski

„MAZOWSZE” na ekranie

Nie bez emocji poszliśmy na pierwszy polski film kolorowy „Mazowsze”. Jak wiadomo, sztuka robienia fotografii barwnej w ogóle, a filmu w szczególności, należy do zadań technicznych i artystycznych niezwykle trudnych. Oglądanie przez nas obrazy, nagranie dźwiękowe, reżyseria i układ niefabularnego przecież, a jednak niezwykle ciekawego scenariusza tej barwnej średniometrażówki, wzbudziły w nas żywe zainteresowanie i niekłamane wzruszenie.

Każdemu droga jest ludowa melodia; piękna są w barwie i wzorze ludowe stroje równiny Mazowsza (tego bez cudzysłowu), ale nie wszyscy widzieć mogą zespół „Mazowsze” (ten z cudzysłowem), na estradzie, bo musiałby on bez przerwy dawać swoje widowisko w każdym miejscu, a to przecież jest zupełnie niemożliwe. Próba filmowego, barwnego odwołania pracy zespołu, złożonego z młodzieży chłopskiej, dla której nigdy dotąd nie były otwarte bramy szkół artystycznych, udało się znakomicie. Wszyscy będziemy mogli widzieć „Mazowsze” w jego pełnym niemal repertuarze. A warto, bo utworzenie tego zespołu jest jednym z największych osiągnięć artystycznych ludowej Polski. Pieśń, ołowicie opracowana przez Sygietyńskiego, ojcowskiego twórcę i zapalonego kierownika „Mazowsza” muzyka, opracowana przez Paplińskiego i Kolińską, tańce, podsluchane we wsi słowa jedne, chłopskie, które często — jak mówi filmowy komentator — przyniósł z sobą spod strzechy do Karolina (siedziba szkolna zespołu) młodzi członkowie, wszystko to podnosi najpiękniejszą, ludową tradycję naszej muzyki do godności sztuki przez wielkie „S”.

Niewątpliwie twórcy „Mazowsza” wzorowali się na podobnych zespołach istniejących w Związku

Radzieckim. Możemy jednak z radością powiedzieć, że polski zespół dorównuje najlepszym zespołom radzieckim. „Mazowsze” możemy z dumą pokazać w każdej sali i stołach radzieckich republik. W filmie barwnym „Mazowsze” jeszcze raz łączą się współpraca artystyczna radziecko-polska. Nim do tego przejdziemy — mała dygresja: w ambasadzie radzieckiej w Londynie odbył się przed kilkoma miesiącami pokaz barwnych filmów radzieckich. Reżyserowi reakcyjnego dziennika londyńskiego „Daily Graphic” nie podobały się oczywiście tematy filmów, bo nie było na nich ani strzelania lub nawet tegiej bójki zakończonej nokautem, względnie sadyściem mordem. W przystępie szczerości wymknęło mu się jednak na zakończenie takie oto wyznanie (w spolszczeniu): „Jeśli chodzi o stronę techniczną barwnego filmu radzieckiego, to reprezentuje on poziom, o którym filmowcy amerykańscy czy angielscy mogą tylko marzyć. Jeśli byśmy powiedzieli, że film radziecki jest kolorowy, to filmy amerykańskie lub angielskie są tylko kolorowe...”. I oto możemy z ogromną radością powiedzieć, że film „Mazowsze” technicznie nie ustępuje kolorowym filmom radzieckim, na co poza udostępnieniem techniki produkcji — nie bez wpływu była konsultacja znanego filmowca ZSRR, specjalisty od filmów barwnych — Jakowlewa.

Kolory w pierwszym średniometrażowym filmie barwnym, wyprodukowanym w Polsce, w wielu fragmentach stwarzają wrażenie arcydzieła malarskiego, gdzie artysta zakłada w tonie zdjęcia jakąś sugestywną barwę, która nie drażni, a łączy obraz kompozycyjnie w całość. Szczególnie przestastnie dzieje — zachód słońca na równinie mazowieckiej — wzbudza niekłamany zachwyt widzów. Film jest więc zarówno sukcesem aktorów — zespołu muzyki, tańca i pieśni — „Mazowsze” jak i nowej dziedziny sztuki, polskiej kinematografii barwnej. J. L.

W pracowni Klary Prillowej

PAWEŁ RZEMYK

Najpierw oglądamy „Kobietę ubijającą masło” w kierzanie. O jej nogi i brzegi spódnicy ociera się kot. Ten miły współmieszkaniec wiejskiego domu stwarza dziwnie swojski i ciepły nastrój.

A oto „Wójt z przodownią” — uwija się w siarczystym oberku. Tancerkę swą ujął w pól, przechylił się do tyłu, nogą przytupnął. Z twarzy bije krzepa chłopska. A ona — zadowolona i pełna wery kobiecia wiejska, taka — od pracy i od tańca!

Lecz to nie wszystko. Bo jest tu ponad 250 (oprócz tego 120 w Bydgoszczy) glinianych istot pracowni Klary Prillowej — ludowej rzeźbiarki w Kcyni. Gdyby tak tę całą, zresztą niezwykle sympatyczną halastwę, zorganizować i wyprawić do Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego! Na pewno kierownictwo tej miłej, z tytułu instytucji przeraziłoby się i, jak należy, zatroszczyłoby się o glinianą gromadę. Aż się patrzeć jak dusi się w czterech ścianach skromnego warsztatowego budynku, od czasu do czasu robiąc wybieczki do Bydgoszczy lub Szubina, celem parotego-dniowego uczestnictwa w wystawie. Raz po raz też ktoś z niej ubędzie, powędruje do jakiejś rodziny jako upominek. Lecz uszczerbek to właściwie żaden, gdyż w tym samym czasie ktoś inny pojawił się na stole, jak np. ostatnio „Kobieta z jagodami”. Jeszcze mokra. Przechyliła głowę do tyłu, jakby chciała wołać na mieszańców piątego piętra miejskiej kamienicy, że przyniosła smaczne jagody.

A teraz poznajmy samą twórczynię glinianych rzeźb, jej pracownię i jej dzieje.

Prawie każdy rodowód artysty ludowego sięga wiejskich pól i wiejskiej pracy. Mistrz A. Majchrzak z Karchowa zaczął dźbać w drzewie szczyrym pasac krowy. Tak samo Leon Dudek z Włoszakowic. I Klara Wilczakówna — dziś Prillowa — będąc dziewczyną również pełniła obowiązki pastuszki

Dopiero po wojnie, dzięki notatce w „Gazecie Pomorskiej” władze kulturalne zainteresowały się rzeźbiarką. Dużo tu zasługi ma wizytatorka Ministerstwa Kultury i Sztuki ob. Daszkiewicz. Za jej to przyczyną figurki powędrowały na Wystawę Obrazów Sztuki Ludowej. Zainteresował się także Wydział Kultury przy Prezydium WRN w Bydgoszczy. Artystka otrzymała od władz



(w Miłosławiu i Grodzisku). Już wtenczas lepiła z gliny różne figurki. Po wyjściu za mąż i osiedleniu się w Kcyni kontynuowała swoją sztukę. A nadawała się szczególnie kcyńska glina koloru popielatego. Spod rąk Prillowej coraz więcej zaczęło się ukazywać figurek. Podziwiających było wielu, lecz nikt z ówczesnych „uczonych w piśmie i mowie” nie zajął się tym samorodnym talentem artystycznym. Nikt, choć niektórzy chwalili się posiadaniem pięknych dzieł.

subwencję na urządzenie pracowni.

Z tą pracownią było niemało kłopotów i procesów, bo — wiadomo — jeszcze nie tak dawno niektórzy inteligenci nie chcieli doceniać rodzimej sztuki ludowej. Dziś pracownia jest za małą. Nie może pomieścić ani glinianych postaci, ani przepięknych wycinanek, ani personeli. Chyba, że ojcowie miasta i powiatu odpowiedzą przychylnie na wniosek o przydział desek, z których można by urządzić wielopiętrowe półki i stoły.

Czeladników i czeladniczek sztuki rzeźbiarskiej prawie tyle, co u Rubensa. Początkowo zaglądano do pracowni kilkoro dzieci. Dziś blisko 30 chłopców i dziewczynek przychodzi tu kształcić swoje zdolności artystyczne. Koszty związane z tym ogniskiem, Klara Prillowa pokrywa z corocznej dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki. 25 małych adeptów i adeptek sztuki już otrzymało nagrody na wystawie szubińskiej. Wśród nich rej wodni pierwsza czeladniczka, 11-letnia Jadzia, córka mistrzyni. Trzeba przyznać, że w rzeźbie robi znaczne postępy, nie zaniedbując się równocześnie w szkole. Doskonałą jej pracą jest „Popiel”, wyrzeźbiony pod wpływem opowiadania jej brata Maksa, który zwiędził Kruzvicę i Mysią Wieżę.

Ktokolwiek zaglądnie do kocyńskiego ogniska, nie wie co właściwie najpierw podziwiać, czy dzieci dźbiące paluszkami w glinie, czy prace samej artystki. Znajdzie tam 5-letnią Dosię, lepiącą postać z kapeluszem, Adasia Onyszkiewicza — specjalistę od nulejantów i żołnierzy, jego rywala Bogusia Chelminiaka, Jankę Blaszczyków. A, jeśli to będzie latem — głuchoniemą 12-letnią Krysię Michalską. Nieraz pracuje razem blisko 20 dzieci.

Ile w tych glinianych figurkach urzekającego realizmu! Popatrzmy na „Szewca”. Tak sam mieszka w pobliżu nas, „Sprzedawca drobiu” — toć przecież Kubiak z Dzierżewowa. A „Siewca” — czy to nie Kondys z Grocholna? Realizm i jeszcze raz realizm, ale artystyczny, piękny. Ludzie z gliny są nam bliscy, to nasi znani i typowi ludzie pracy, ludzie żywi. I to jest ogromną wartością sztuki K. Prillowej.

Szkoda, że te figurki nie wyruszają w świat, do sklepów CPLA, a przez nie do mieszkań. Bo czy nie lepiej zamiast bochomaza pseudo-klasycznego mieć na biurku np. wesołego „Zemierza grającego na harmonii”, lub „Pracę”, kobietę pochyloną nad balia, piórą na pewno cudzą bieliznę i przypominającą z czasów przedwojennych niejedną sterczącą matkę? Sztuka Prillowej wprawdzie nie wyszła z wykstażenia artystycznego obciążonego teoriami i wpływami, ale wywodzi się z serca, z współczucia ludzkiego. I dlatego należy ją postawić na poczesnym miejscu.

„Zaczynamy dzentelmeni...!”

Tak oto powiedział 10 czerwca do członków amerykańskiego sztabu na Korei generał Boatner. I „dzentelmeni” zaczęli. Zdrów wyruszyli przeciwko umęczonemu, bezbronnyemu ludzkości miotaczom płomieni, samochodów pancernych i czołgów. 30 ludzi — według oficjalnych sprawozdań United Press — zostało zamordowanych?

„Okrucieństwo jest jednym źródłem władzy, która się wali” — powiedział jeden z bohaterów Komuny Paryskiej, Varleine. Trzeszcza podstawy władzy kapitałów dolara, rozszerzają się groźne pęknięcia na gmachu „przywilejów własności i bodźców zysku”, które oślawiony senator amerykański, Baruch, określił mianem „swobod bar dziej drogoty, niż pokój”. Słowo „pokój” tak nienawistne dla pana Barucha i jemu podobnych, a tak nieskończenie umiłowane przez narody, rozbrzmiewa ze zdwojoną siłą na rusztowaniach Warszawy i wśród starych pałaców Pekinu, w wolnym demokratycznym Berlinie i na wietnamskiej Rzeki Czerwonej. Wprawdzie Adenauer „jednym pociąganiem pióra, niby wystrzałem z pistoletu” składa podpis pod bonniskim układem śmierci, ale to pociąganie pióra przekreśla miliony zaciśniętych pięści na placach Duesseldorfu, na ulicach Essen, w dokach Hamburga. Wprawdzie płyną wciąż na Koreę nowe transporty „wojsk Narodów Zjednoczonych”, wprawdzie ze zgłiszcz Phenianu raz po raz wytryska płomień wzniesienia amerykańską bombą napalmową, ale bynajmniej nie w charakterze zwycięzców występują przy stole obrad w Pan-Mun-dzon delegaci amerykańscy.

Wydawać by się mogło, że przedstawiciele walczącej się władzy powinni raz na zawsze uznać tę niemienną prawdę, że kora historii nie da się zawrócić. Ale ich szalenstwo jest bezgraniczne. Pragnąc za wszelką cenę ratować niedobitki swej tyranii, imperialiści używają na pomoc faszyzm, okrucieństwo, przemoc. „Niech będzie przelew krwi — przecież to wojna” — oświadcza cynicznie generał Boatner i każe strzelać do jeńców z Kożedo. Broczą krwią również ulice niemieckich miast, pod kulami policjantów Joshydy padają japońscy robotnicy, przyboczna straż Pinay'a wlecie do samochodów policyjnych zmasakrowanych paryżan.

A jednak broń przemocy i terroru — zawodzi. Oto „marnarz Francji”, Henri Martin, skazany przez trybunał wojskowy za to, że „nie chciał strzelać do swych wietnamskich braci, stał się symbolem walki ludu francuskiego o wolność i pokój. Nie ma niesubordynacji, gdy chodzi o walkę przeciwko rządowi, który zdradza interesy Francji. Ci, którzy walczyli przeciwko Vichy, nie byli zdradcami”. Te dumne słowa Henri Martin, wypowiedziane na procesie, stały się jednym z naczelných hasel ludu francuskiego.

Oto Jacques Duclos, ukończony przywódca francuskiej klasy robotniczej, aresztowany za rzekomo „działalność antypaństwową”, znowu więzienia przyswaja abstrakcyjne argumenty prokuratora, odparowuje z niezawodną celnością wymierzone przeciwko niemu perfidne zarzuty, pokazuje narodości francuskiemu, w jakie potworne trzęsawisko zdrady i zaprzęstwa zabrakną rząd francuski pod egidą Trumana. „Unieszkodliwiony” rzekomo Duclos staje się tak niebezpieczny dla polityki fałszywej Francji, że nawet burżuazyjny dziennik „Le Monde” bije na alarm, ostrzegając rząd przed szkodliwymi konsekwencjami ostatecznego posunięcia. „Może dojść do tego — pisze ów dziennik — że Jacques Duclos będzie bardziej niebezpieczny w więzieniu, niż na wolności. Nie wystarczy aresztować ludzi, trzeba ich następnie móc skazać”.

PIOTR GUZY

Literatura ginącego świata

Typowym przedstawicielem dekadentckiej literatury umierającego świata jest J. P. Sartre we Francji i Henry Miller w Ameryce. Obydwaj są pisarzami-ideologami, którzy zanębiając własną swoją klasę ruszyli w bój o podsiadły światopogląd odpowiadający społeczeństwu burżuazyjnemu i walczą w obronie indywidualizmu, który ma człowieka odseparować od społeczeństwa i skazać go na samotność w imię „obrony” swobody jednostki i indywidualnego „prawa wyboru”. Aby zrozumieć mowę polityczną burżuazyjnego indywidualizmu, warto przypomnieć, że przed drugą wojną światową dobro wolni wspólnotami Hitlera we Francji okazali się właśnie dekadenci-indywidualiści, jak np. A. Montherlant, A. Breton i J. Romains broniący „niezależności jednostki” i „niezależności sztuki” — niezależności od ludu.

W świetle egzystencjalizmu Sartre’a świat jest niemy i lny jak istnienie na ziemi każdego pojedynczego człowieka „widzianego przez samego siebie”. Do absurdu dowiodł taką metafizykę Biedrzejew, nauczyciel egzystencjalistów, który twierdził, że nie tylko „konkretny” człowiek, lecz również „pies i kot... są indywidualnymi osobnikami o wiele wyższym wcieleniu bytu wiecznego aniżeli naród, społeczeństwo, państwo”. Istotną cechą takiej „ideologii” jest pogarda dla człowieka. Człowiek wg. Sartre’a jest niedoskonały. Ta „fatalna” niedoskonałość natury ludzkiej tłumaczy on niedoskonałość społeczeństwa o partego na własności prywatnej. Człowiek jest skazany na małą wprost nieporadność, a postępowanie jego jest pozbawione jakiegolwiek logicznej motywacji. Istnienie stało się w ten sposób absurdem.

W sztuce „Drzwi zamknięte” Sartre przedstawia swoją filozofię „tragizmu istnienia”. Tragizm ten polega na tym, że nawet pojedynczy człowiek jest „skazany” na współzależność z innymi ludźmi. Zamknięty pokój w którym przebywa trzech bohaterów sztuki, jest symbolem wyostrzenia kapitalistycznego społeczeństwa. Pokój ten jest „piekłem”, gdyż bohaterowie nie mogą zeń wyjść. Samo istnienie narzuca ludziom konieczność przebywania wśród „innych” i dlatego właśnie życie jest piekłem. „Piekłem są inni”. W „piekle” Sartre’a nie ma konieczności „doświadczenia grzesznych” — wystarczy zmusić ich do patrzenia jeden na drugiego. Dlatego kiedy człowiek na chwile amknie oczy, świat przestaje istnieć!

Albo przecież człowiek żyje na świecie z otwartymi oczyma. Jak więc uwolnić się od praw rządzących życiem, które wg. Sartre’a są podobne do łańcucha, jakim skute są naci katortnik. Należy — odpowiada Sartre — po prostu nie uznawać za realne istnienia takiego łańcucha. Człowiek powinien uwierzyć w to, że jego „subiektywność ludzka” nie jest podpo-

rządkowana prawidłowością i związkiem przyczynowym między zjawiskami, które zostają „wyniszone przez marksistów”.

Świat Sartre’a to świat w obliczu katastrof. Co ma wobec tego zrobić człowiek? Człowiek powinien — uczy Sartre — „przejść samego siebie” i przetrwać stółczym rozpacz „dokona wyboru”. Nie ważne jest co wybierze, bowiem zarówno wybór jak i postępowanie za nim działanie nie mają znaczenia, są „absurdalne”. Chodzi tylko o to, aby wybór był dokonany samodzielnie. Na przyjęciu samodzielnego postanowienia kończy się „wolność”, a nawet „heroizm”, „człowiek Sartre’a”.

„Człowiek Sartre’a” to człowiek zbuntowany, a „wolność”, którą mu oferuje, to wolność popelnienia samobójstwa. Według Sartre’a jedna jest tylko rzecz, która ukazuje „realną wartość działania człowieka”, mianowicie śmierć. Jeżeli tak jest, a każde działanie jest bezowocne, daremne — to celowość jego nie ma żadnego znaczenia. Stąd twierdzenie, że wszyscy, bez przekonań i czynu, ludzkie mają tę samą wartość, w tym sensie, że nie mają żadnej.

Literatura Sartre’a jest artystycznym funkcją rozkładu burżuazyjnego społeczeństwa. Okropna przez swój pesymizm, usiłuje zaszczepić w czytelniku i spazmować jego świadomość niewiarą w życie, w człowieka, w jakiegokolwiek ideału i moralne wartości. Jest to propaganda o wyraźnym zabarwieniu politycznym, zniekształcająca wszystko postępowe i dążące do przemiany ludzi w pozbawione rozumu istoty. Wiedzy bowiem ustroj burżuazyjny byłby poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

Podobne idee propaguje amerykański egzystencjalista Henry Miller. Nie uznaje on żadnej moralności i bezustannie to w swoich książkach podkreśla. Historię uważa za „nieprzerwaną cykl obiedu”. Charakterystyczne dla jego filozofii jest stwierdzenie, którym kończy się jego książka pt. „Oko kosmologiczne”: „Nie interesuje mnie masę ani zamierzona istniejących rządów świata. Mam nadzieję i wierzę, że cały cywilizowany świat ulegnie likwidacji w okresie następnych stu lat. Wierzę, że człowiek i że istnieć w nieskończenie lepszy sposób — bez cywilizacji”. Jest to zaprzeczenie jakiegokolwiek postępu i bezadziejna technika do jakiegolwiek iluzmu. Bez cywilizacji wg. Millera, człowiek byłby „wolny”. Miller nie rozumie i nie chce zrozumieć, że wolność jest niemożliwa w oderwaniu od społeczeństwa historii i bez nauki. Nauka bowiem uczy człowieka poznawania i opanowywania przyrody. Millerowska wolność, odseparowana od historii i pozbawiona wszelkich podstaw rozumowych skazuje człowieka na niemoc, na niewolę i rozpacz.

Miller pokazuje życie jako zupełny nonsens i przypadek, poka-

zuje bezsilność jednostki, która może „wyładować się” tylko w perwersyjnych ekscesach seksualnych, poza tym unosi ją ślepy potok walki o chleb, na kierunku, którego człowiek nie ma żadnego wpływu. Ta sama wiec niewiara w człowieka, jaka znamionowała Sartre’a, charakteryzuje również Millera.

Miller akceptuje bez zastrzeżeń istniejący chaos kapitalistycznego świata i pawi się z rozkoszą w jego brudach, gdyż „wynaleźć coś innego wymagałoby aktu stworzenia — a to jest niemożliwe. Ekonomiczna rewolucja nie dokona niczego. Nie ma co marzyć o ekonomicznym zbawieniu”. Jedynym wyjściem z tego chaosu jest kompletna ucieczka od świata, co można osiągnąć przez subiektywne uznanie nieistnienia logicznych związków — między zjawiskami, przez przyjęcie filozofii irracjonalizmu. „Kiedy każdy człowiek — mówi Miller — zrozumie, że niczego nie może oczekiwać od Boga, ani od przyjaźni ani od dobroliwych tyranów, ani od demokratycznych rządów, ani od świętych, ani od zbawców, a nawet od tej rzeczy świętej ze świętych, wykształcenia, kiedy każdy człowiek zrozumie, że musi pracować własnymi rękami aby się zbawić i że nie potrzebuje oczekiwać litości, wtedy — być może! — Tak brzmi recepta Millera na „zbawienie”.

świata. Porządek społeczno-historyczny jest dla niego głupstwem. Sztuka jest głupstwem — bo celem pisania jest „niszczenie” w sobie artysty”, a „wyzwolenie” człowieka. „Stalem się — pisze Miller — Bogiem, idę zawsze na całego. Jestem absolutnie obojętny na losy świata: mam swój własny los i swój własny świat. Nie robię zastrzeżeń, ani kompromisów. Ja akceptuję”.

Filozofia Millera, Sartre’a i im podobnych prowadzi w prostą linię do faszyzmu. Jest to skowit ginącej klasy, która wiać ze swoją śmiercią chciałaby wyćpać do grobu cały świat. Aktywność z jaką książki Millera i Sartre’a są rozpowszechniane na Zachodzie świadczy dobitnie, że burżuazja jest przerażona rosnącym wpływem postępowej myśli na umysły „prostych ludzi”. Tym się tłumaczy ten ostrzy atak na świadomość mas ludowych, celem skazania ich na bezczynność i bierność poddanie się losowi. Jednakże masy świata mają swoje własne poglądy i umiały bronić swoich praw. Postępowa literatura Zachodu, ściśle związana z walczącym o lepsze jutro ludem, rośnie i rośnie będzie coraz bardziej, a twórczość Sartre’ów i Millerów, pisarzy świadomie przeciwstawiających ludowi chaos, chęć go pogrozić w mroczak absurd i oblakania, skazana jest na nieuchronną zagładę.

KSIAŻKI, KTÓRE WARTO POZNAĆ

Satyra na moźnych*)

William Makepeace Thackeray — jest jednym z największych — obok Dickensa — angielskich powieściopisarzy XIX wieku. Karierę piśarską rozpoczął on od drobnych utworów, które drukował w czasopiśmie Następnie wydał parę 1 żek, z których największy rozgłos uzyskały „Targowisko próżności” oraz „Księża i bów”.

Genetne twórczości, w której Thackeray celował — to satyra. Piętnował on wszelką małoskorność, wygórowaną ambicję, egoizm i fałszywy sentymentalizm. W utworach jego nie brak akcentów, jak na owe czasy — wręcz rewolucyjnych. Przez usta jego przemawiała żarliwość reformatora, który „ragnał” na prawy stosunków społecznych.

Książka Thackeray’a pt. „Pieśń i róża” — to na pozór niewinna bajka, w której

występują królowie, wróżka, przedmioty mające moc czarodziejską, słowem — w której dzieje się nadzwyczajne „cuda”. W gruncie rzeczy jest to jeszcze jedna thackerayowska, ostra satyra na wyższe klasy społeczeństwa. Blichem zjadliwej ironii chłozę autor fałsz i zakłamanie nieuctwo, zdradę, okrucieństwo, intrygantwo nicość moralną i bezdenną głupotę obowiązujących autorytetów.

Prosty, pozbawiony kunsztownych konstrukcji styl sprawia, że książkę tę czyta się z prawdziwą przyjemnością. Thumaczenie Rogoszojny — bardzo dobre. Dowcipne udane ilustracje Marka Rudnickiego doskonale uzupełniają tę wartościową książkę.

*) W. M. Thackeray. „Pieśń i róża”. Państwowy Instytut Wydawniczy (wydanie IV).

Lessy, mady, szczerki, bielice, rędziny itd.

Mówimy i piszemy często o dobrej strukturze gleby i kojarzymy to z zawyczaj z ziemią. Tymczasem tak wcale nie jest. Gleba, to nie- zbyt gruba warstwa okrywająca powierzchnię ziemi, warstwa, na której rosną najróżnorodniejsze rośliny pożyteczne uprawiane przez człowieka i rośliny wegetujące w stanie dzikim. Gleba powstaje dzięki współdziałaniu podłoża i czynników zewnętrznych, a składa się z ziarenek minerałów i resztek skał oraz z resztek butwiejącej materii roślinnej i zwierzęcej.

Na północy, w niskiej temperaturze nie ma wcale gleb, tak samo jak i w wysokiej temperaturze, na pustyniach, bo nie ma tam roślinności.

Często podłożem jest początkowym utworem, z którego powstaje gleba. W naturalnym podłożu mogą znajdować się dwie lub kilka warstw różnego pochodzenia, np. warstwy piasku lub mułu. Wtedy i gleba będzie niejednorodna. Skład mechaniczny gleby poznaje się przez analizę. Można rozpocząć także w polu bez przyrządów, ale tylko w przybliżeniu.

Tworzenie się gleby obserwujemy najlepiej na jej przekroju. Jeżeli wykopieśmy doł albo natrafimy na odkrywkę (wykop drogi, row, przekop kanalizacyjny) możemy obserwować gołym okiem cały profil gleby, składający się z kilku warstw aż do skały macierzystej. Na podstawie tych obserwacji różnorodności podłoża ustalono na terenie naszego kraju typy glebowe o różnych nazwach i właściwościach, a więc lessy, mady, szczerki, bielice, rędziny, gliny, ły, czarnoziemy, piaski, gleby górskie, podgórskie i torfowe. Posiadają one różną jakość i skład, a co za tym idzie i lepszą lub gorszą wydajność uprawową. Do najlepszych należą lessy, mady i czarnoziemy.

Gleby wielkopolskie

Utarło się przekonanie, że rolnictwo w województwie poznańskim i bydgoskim osiąga najwyższe plony z hektara. Kto nie zna więc naszych gleb może przypuszczać, że posiadamy tu właśnie owe lessy, mady i czarnoziemy. Tymczasem poza rdzennymi Kujawami mamy tutaj przeważnie gleby lekkie tj. bielice i szczerki, które są, rzecz jasna, jakościowo gorsze od gleb ciężkich. Wysokie plony w Wielkopolsce zawiązać należy właściwej i umiejętnej uprawie roli, racjonalnemu stosowaniu nawozów mineralnych i doborowi odmian roślin uprawnych. Bo każdy rodzaj gleby należy uprawiać inaczej, stosować różne metody, które w rezultacie dają wyższe plony.

Na obszarze naszego województwa występują w ogromnej przewadze bielice i szczerki naglinowe, gleby piaszczyste i jałowe piaski. Te ostatnie ciągną się długim pasem na południe od Noteci, dość duże wyspy znajdują się na zachód od Nowego Tomysła, na południe od Ostrowa, na południowy zachód od Wolsztyna i w zachodniej części powiatu konińskiego. Gliny zwiezie, trudne do uprawy, wrażliwe na suszę jak i na wilgoć, występują w większym skupieniu jedynie w trójkącie Gostyń — Jarocin — Ostrów i na północ od Wągrowca. Reszta to bielice i szczerki. Wobec niedoceniania nawożenia wapnem gleby nasze w dalszym ciągu ulegają procesowi zakwaszania.

Ogólnie rzecz biorąc gleby wielkopolskie pod względem użyteczności rolniczej — według oceny Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa — należy zaliczyć do III i IV klasy. Przyjmując trzy pierwsze klasy jako gleby dobre to największy ich procent posiada powiat gostyński (81 proc.), najmniej-

szy zaś powiat pilski (17 proc.). Przeważna część powiatów woj. poznańskiego posiada powyżej 50 proc. gleb dobrych.

Co to są bielice?

Według inż. L. Łaskiewicza, bielice są to gleby koloru szarego, zawierające pewną ilość próchnicy. Na ogół barwa przypomina kolor popiołu i dlatego niektórzy nazywają je nieściśle popielicami. Przy większej ilości próchnicy bielice mają barwę ciemniejszą, podglebie ich jaśniejsze o zabarwieniu rdzawo-żółtym, podłożem przeważnie gliniaste. Są one ubogie w wapno. Wzbogacenie ich w ten nawóz i w próchnicę jest najważniejszym zadaniem naszych rolników.

Przy uprawie bielicy trzeba unikać nadmiernego bronowania i sprężynowania. Dodatkowo natomiast działa wzbogacenie i dlatego wczesną wiosną używać należy jako pierwszego narzędzia — wółki. Niewskazane jest stosowanie na bielicach kultywatora o łapach sprężonych. Przyczyniłoby się to do jeszcze większego wysuszenia tego rodzaju gleby. Wapno, azotniak, saletra wapniowa, supertomasyna, superfosfat, a głównie obornik i nawozy zielone wpływają na polepszenie budowy gruzelkowej i strukturalnej bielicy.

Szczerki są to gleby piaszczyste. Dzielą się one na mocne i lekkie. Mocne mają najczęściej podłoża gliniaste lub marglowe, uprawa ich podobna do uprawy bielicy. Lekką, to przepuszczalną o podłożu piaszczystym, zawodną i nieurodzajną. Do podniesienia urodzajności szczerków przyczynia się przede wszystkim uprawa łubinu i seradeli i przeorywanie ich na zielono. Szczerki wymagają bez-

JAN RYSZEWSKI

względnie wapniowania. Zabiegi pielęgnacyjne należy wykonywać ostrożnie, aby nie rozpylać zbyt wiele ziemi. Ważny jest również odpowiedni dobór odmian roślin uprawnych. Porady fachowej w tym zakresie udziela każdemu rolnikowi wszystkie placówki naukowo-badawcze.

Wszelstronne lessy

Lessy zaliczane są do gleb żyznych, urodzajnych, o barwie szaro-popielatej i podglebiu żółtawo-szarym, składają się z drobnego pyłku i niewielkiej ilości gliny. Z natury przewiewne, zdolne do magazynowania wilgoci i dlatego nie trudna jest ich uprawa. Gleby lessowe nazywamy strukturalnymi, co według uczonego radzieckiego Williama oznacza, że „w glebie strukturalnej rośliny znajdują zawsze jednocześnie pokarm i wodę”. Lessy wymagają nawożenia naturalnego podobnie jak bielice, nie znoszą zbyt silnego wapniowania. Urodzajność tych gleb jest wszelstronna. Udadają się na nich wszystkie rośliny.

Gleby gliniaste i łąkowe składają się nie z samej tylko gliny, lecz także z piasku i żwiru. Są z natury ubogie w wapno, mało przewiewne i przepuszczalne. Uprawa glin i łąk nie jest łatwa, choć są na ogół bardzo urodzajne. Na tego rodzaju glebach, dzięki stosowaniu najnowszych metod agrotechnicznych osiąga się w Związku Radzieckim rekordowe plony. Nie do rzadkości należą zbiory 1000 kwintali buraków lub 45 kwintali pszenicy z hektara.

Rędziny uważane są również za gleby żyzne. Występują przeważnie w woj. lubelskim, a u nas na małej przestrzeni w okolicy Kalisza. Zawierają dużo wapna i próchnicy. Po deszczu lub po wiosennych roztopach rędziny są trudne do uprawy — zlepiają się na skutek po-

siadania wapiennego podłoża. Nie można orać zbyt głęboko, a po orce natychmiast bronować, aby uchronić glebę przed zbrzydlaniem.

Czarnoziemy — wiadomo gleby najżyźniejsze — występują na Kujawach, częściej w powiecie mogileńskim i żnińskim. Podłożem ich stanowi przeważnie lekka, żółta glina. Są zasobne w próchnicę, co właśnie wpływa na ich urodzajność. Mamy trzy rodzaje czarnoziemów: lessowe, niezdegradowane i zdegradowane. Lessowe, najbardziej żyzne, mają górną warstwę jaśniejszą, dolną ciemniejszą.

„Tak ziemia rodzi, jak chłop koło niej chodzi”

Pozostają jeszcze mady, występujące z reguły wzdłuż koryt większych rzek. Barwa ich jest żółtawo-szara. W podłożu mają zawsze piasek, są przewiewne i przepuszczalne. Rozróżniamy dwa rodzaje tych gleb: mady chude i mady tłuste. Wbrew nazwie mady tłuste są najmniej urodzajne, natomiast mady chude należą do najżyźniejszych. Stosowanie obornika jest podobne jak przy nawożeniu rędzin. Na wiosnę należy zasiane na madach oziminy bronować, aby nie dopuścić do powstawania skorupy glebowej. Ten zabieg pielęgnacyjny w Związku Radzieckim zwiększa plony zbóż ozimych o 20 do 30 proc.

Kończąc pragniemy zaznaczyć, że urodzajność różnych typów gleb zależy w dużej mierze od samego rolnika, od jego sposobu uprawy, od właściwego nawożenia i pielęgnacji roślin. Mamy przysłowia, że na bardzo lekkich szczerkach i bielicach w Oświecie pod Krotoszynem chłop osiągnął w niekorzystnym 1951 roku po 24 kwintale żyta z hektara. Słusznie więc mówi ludowe przysłowie, że „tak ziemia rodzi, jak chłop koło niej chodzi”.

KALENDARZ IGNACEGO PIOKERA

(Korespondencja z Węgier)

Budapeszt, w czerwcu W centralnym dzienniku węgierskim „Szabad Nep” przeczytałam następującą notatkę: „Towarzysz Ignacy Pióker, laureat nagrody Kossutha, najlepszy frezer w kraju, w ciągu ostatnich miesięcy wprowadził ulepszenia, które umożliwiły mu wykonanie kwietniowego planu w 286%. Tow. Pióker również, począwszy od 1 maja, wypełnia systematycznie więcej niż 200% normy, a 13 maja wykonywał już plan z kwietnia 1956 roku”.

Poczułam lekki zawrót głowy. Wprawdzie do tych niezwykłych kalendarzy węgierskich przodowników pracy byłam już po dwutygodniowym pobycie nieco przyzwyczajona. Wprawdzie, już podczas pierwszomajowej manifestacji triumfalnym, nieustannie wracającym refranem dzwoniły mi w uszach słowa:

„Pozdrawiamy Hölze Istvana i Pal Janosa, którzy wykonują już plan z 1953 roku”.

„Pozdrawiamy Vilmany Tibora, który pracuje w roku 1956, Takacs Lajos, który pracuje już w kwietniu 1953 roku, Lenkey i Matejka, którzy...”

Nie kończąca się serpentyna gorących pozdrowień płynęła imiona i nazwiska, znow i znow przez wiele godzin, bez końca, bez końca. Kalendarz powinien się obrazić — naprawdę. Jakże kpią z niego węgierscy przodownicy i racjonalizatorzy! Stwarzają sobie własne kalendarze, przystosowane do ich własnego socjalistycznego czasu. Bo czas — jak okazuje się, to czynnik niesłychanie zmienny, giętki, ruchliwy — wydłuża się, kurczy, maleje, rozrasta — zależnie od rąk i mózgu człowieka, który nad nim panuje. Nie tylko rąk i mózgu — serca również.

Kiedy w 1945 r. nastąpiło wyzwolenie Węgier spod władzy faszystowskiego reżimu, Piókera również ogarnął wicher wielkich przemian: „Nawet w nocy nie mogłem wyrzucić z głowy nowowyciecznych słów: racjonalizatorstwo, współzawodnictwo, plan 3-letni — zwierza mi się Pióker. Nowe to wszystko było dla mnie. Słowa, pojęcia i całe życie i to cudowne uczucie, kiedy krąg widzenia wciął się rozszerza, kiedy człowiek, ucząc się, doskonalił wciął swą pracę i kiedy zrasza się ze swym warsztatem jak z kimś najbliższym, najserdeczniej kochanym”.

„Ta maszyna jest moja” — jakże często słyszy się w węgierskich fabrykach te słowa. Ignacy Pióker zaczął

walczyć wtedy właśnie, gdy z bezwzględna, nieodpartą jasnością uświadomił sobie tę prawdę — jedną z naczelnych, podstawowych praw kształtujących życie społeczeństwa w kraju demokracji ludowej: wszystko jest nasze.

Ciężkie, pełne wahań, rozterki, szarpaniny, były pierwsze dni. Niepewność własnych sił dręczyła Ignacego Piókera. Pierwsi w jego fabryce „Egyesült Izzo” ruszyli tokarze. Przewodnik József Kiszlinger osiągnął znakomity wynik. Z niewiarygodną szybkością krzesząc błękitne iskry, wirowały żmijowate skręty wirów spod jego maszyny. Pióker takie miał uczucie, kiedy po raz pierwszy zetknął się z wynikami metod radzieckich, jakby „cud” oglądał. Ale tow. Rakosi, gdy mówił: „Uczcie się od radzieckich stachanowców, szukajcie nowych metod, myślcie nad tym, jakby w prosty sposób lepiej i więcej produkować” — miał na pewno nie tylko tokarzy na myśli. Ignacy Pióker przeczytał najpierw książkę szybkościowych skrawaczy radzieckich, Bykowa i Borikiewicza, a potem uczył go radzieccy koleżdy po fachu, Nikiforow i Titow. Wgłębiał się w drukowane litery, porównywał — badał, zestawiał, próbował, męczył się — i osiągnął zwycięstwo”. Tyłko wtedy — twierdzi — może człowiek iść naprzód, kiedy do najdrobniejszych szczegółów zna się na rzeczy, kiedy dokładnie zdaje sobie sprawę z przyczyn i celowości każdego najmniejszego ruchu. Moje zwycięstwo jest bardzo proste — mówi — moje wyniki wcale nie wymagają specjalnego naświetlenia — przeciwnie, o wiele mniej męczyć się przy warsztacie teraz, niż dawniej. Trzeba tylko wciąż myśleć — i kochać swą pracę”.

Ignacy Pióker świetnie zarabiał, doskonale wyglądał, jest wzorowym małżonkiem i bardzo kochającym ojcem dwojga dzieci. Ale w momencie naszego spotkania nie zastaje przy nim jego poeci. W Galyatető, w przepięknie położonym domu wypoczynkowym na szczycie gór Matra, przestrzega się zasad bezwzględnej spokoju dla wczasowiczów, a że brzdąca lubią hałasować, więc wraz z innymi brzdącami pojechały gdzieś indziej. Zresztą, z niezmiennie troskliwego obejścia pani Pióker mogłoby się zdawać, że małżonka również po trosze uważa go za syna. Całuje go serdecznie w czoło i robi nam wyrzuty, że opuściliśmy towarzystwo. „Kochanie, tak bardzo nas brak? — pyta z niedowierzaniem Ignacy. Zna dobrze żonę i wie, o co jej chodzi. Wolałaby teraz na wczasach widzieć męża śmiejącego się, lub słuchającego lekko muzyki niż z przejęciem rozprawać o produkcji. Za chwilę przybiega redaktor „Ludas Martyi”. I on również nalega. Nie ma rady — idziemy.

W olbrzymiej sali nastrój jest znakomity. Jedni tańczą, inni przy stolikach z kawą i winem śmieją się, opowiadając sobie przeróżne historie i anegdoty. Ale ja trafiał od razu na żonę redaktora „Ludas Matyi”. Niemkę, która wyemigrowała z Niemiec w 1933 roku, w momencie dojścia Hitlera do władzy. Zaczynamy rozmawiać o tamtych czasach, nawiązują się najbardziej po nure wspomnienia. Towarzystwo przywołuje nas do porządku. O parę stolików dalej widzę Ignacego Piókera i obok jego młodzieńczo wyglądającą, pełną wdzięku, żonę. Widzę, że oboje doskonale się bawią.

Jak dobrze na nich, patrzeć. Oddalają się mury wspomnień. Znow słyszę śmiech i muzykę. Świadomość istnienia Ignacego Piókera i tysięcy jego towarzyszy w krajach obozu pokoju sprawia, że daje się odegnąć zmora wojny bo potężniejszą siłą zwyciężającą śmierć, niosącą życie, śmiech i muzykę.

Zofia Rzeplińska

Przed 200 milionami lat



Unikalny czerep żaby-ja-szczura, która żyła przed 200 milionami lat.

Geologia i paleontologia otrzymały nową naukę pomocniczą — tafonomię (od słów greckich — tafo — przechowywać, zabezpieczam, nomos — prawo), której zadaniem jest badanie wykopalisk szczątków zwierząt umarłych i warunków, w jakich przeżywały. Badanie historycznego rozwoju świata zwierzęcego i roślinnego ma ważne znaczenie dla praktycznej geologii i służy dalszemu rozwojowi gospodarki socjalistycznej kraju. Dzięki tafonomii łatwiejsze jest odnalezienie w pustynnych obszarach Azji pokładów węgla, niektórych rud ropy naftowej. Twórcą nowej nauki jest prof. I. Jefremow, laureat nagrody stalinowskiej.

Znając kolejność pojawiania się na ziemi różnych żywych istot, można według ich budowy określać geologiczny wiek pokładów, w których znaleziono szczątki daw-

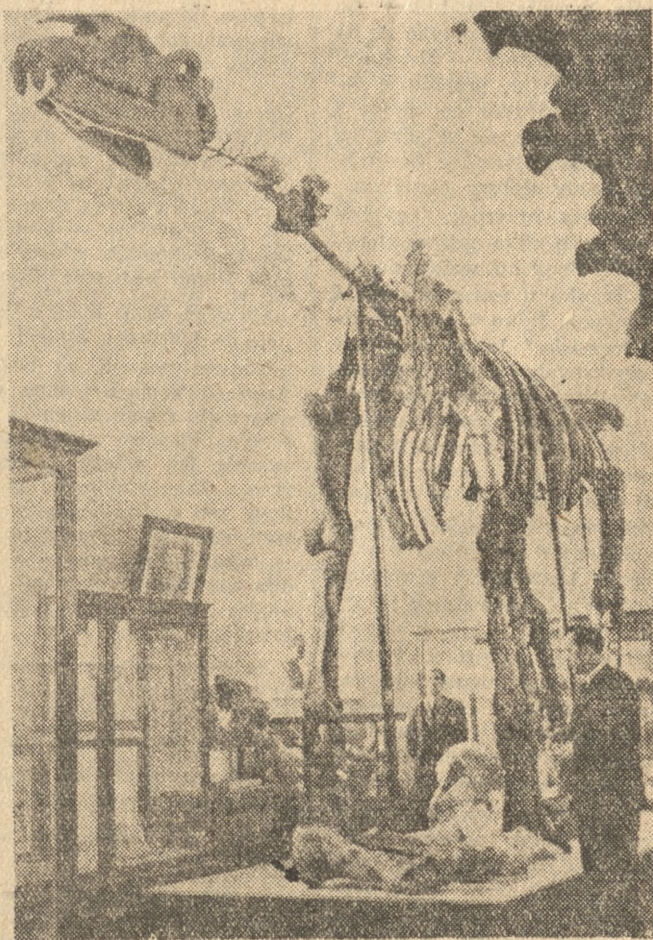
nego zwierzęcia. Według budowy szkieletów wymarłych zwierząt, określa się warunki życia zwierzęcia, klimat i dawną geografę kontynentu.

Wbrew itsnającą poglądom o odwieczności pustych Azji Środkowej uczeni radzieccy, posilując się tafonomią, doszli do ważnego wniosku, iż kontynent Azji Środkowej położony był w pobliżu jakiegoś morza. Przemawiają za tym nizinne, błotniste obszary, obfitość wód i roślinność. Wielkie odkrycia w tym kierunku poczyniła Akademia Nauk ZSRR na terenie Mongolskiej Republiki Ludowej. Ekspedycje naukowe znalazły w Mongolii największe „ementarzysko” olbrzymich jaszczurów — dinozaurów, których szkielety w całości przewieziono ostatnio do Moskwy do muzeum paleontologicznego. Odnaleziono dalej gatunki wymarłych kręgowców, o których istnieniu nauka nie wiedziała. Wydobyto z dość głębokich warstw ziemni szczątki zwierząt ziemnowodnych, które żyły przed 200 milionami lat, a wśród nich szkielety strasznych jaszczurów dinozaurów, niezwykle żaby-ja-szczura, której jedyny czerep na świecie znajduje się w muzeum moskiewskim. W Kazachstanie z epoki późniejszej znaleziono szczątki wymarłych nosorożców.

Według szkieletów tych zwierząt odtwarzany jest ich

wygląd zewnętrzny. Zrekonstruowane szkielety znajdują się wkrótce w muzeum paleontologicznym. Dane otrzymane metodą profesora Jefremowa pozwalają również odtworzyć krajobraz i wyobrazić sobie warunki, w jakich przeżywały wymarłe gatunki zwierząt przed milionami lat.

Fr. H.



Szkielet olbrzymiego nosorożca, który żył przed 30 milionami lat w Kazachstanie.

Wolsztyn – jakiego zapewne nie znacie

Józef Tułasiewicz

Wysoki, rozlśoneczniony błękit nieba. Wiatr muska ciepłm i przegania po widnokręgu pierzaste obłoki.

Od pomostu lekko odepchnięto łódź. Wiosła zarurzone w przeźroczu wodnym, śmiało poprowadziły ją ku dalekiej przestrzeni Jeziora Wolsztyńskiego.

Z małej zatoki, gdzie na tle soczystej zieleni starodrzewu parkowego wyraźnie zarysowuje się wąskie pasmo plaży i przystań utrzymywana przez wolsztyńską MRN, popłynęliśmy ku widocznej z daleka wyspie, pokrytej gąszczem liściastego lasu.

Zwolna oddalał się brzeg, a brzeżem 19-hektarowego parku, najbliższa droga (od dworca kolejowego) prowadzi wprost z rynku, ciasnym przejściem między domami.

Ściśnięte na niewielkiej przestrzeni międzyjeziornej młost, otaczają od północy wody Jeziora Wolsztyńskiego, a od południa — Berzyńskiego. Oba te sąsiednie jeziora łączą z dwoma dalszymi: Wioszczańskim (10 km na północ) i Obrzańskim (8 km na południe) rzeczka Dojca, wypływająca w pow. nowotomyskim i znajdująca ujście w Jeziorze Obrzańskim.

Wszystkie te urzekające urokiem jeziora leżą w tzw. rwnnie wolsztyńskiej pochodzenia lodowcowego i powstały w okresie dyluwialnym, a więc poprzedzającym bezpośrednio obecny okres dziejów ziemi. Charakterystyczne dla rwnny są zwłaszcza liczne torfowiska, z których najczęściej — torfowisko mszarne wrzosewe, odznaczające się grubym pokładem dochodzącym do 8 m głębokości i kompletem flory torfowisk wielkopolskich, znajdziemy koło Nowego Młyna (6 km na północ od Wolsztyna). Z tego też względu, obszar ten stanowi rezerwat przyrody.

Wiatr przegnał pierzaste obłoki i rozciągnął ciemną chmurę po niebie. Piętrząca się fala znaczyła drogę burzy, która zaledwie otarła się o jezioro swym bokiem. Łódź zaczęła dryfować ku środkowi jeziora, ale przynaglona wiosem, posłusznie dobiła do brzegu. Znaleźliśmy chwilowe schronienie na wyspie, w chwili, gdy dobrze już targalió pórpuszami drzew.

Dla badacza i miłośnika przyrody wyspa na Jeziorze Wolsztyńskim stanowi interesujący swą pierwotnością obiekt. Zwalone pnie drzew spletane z wszelkiego rodzaju roślinnością, tworzą gźdzeniegdzie trudne do przebycia uroczyska. Wąskimi ścieżkami można przebieć się przez tę małą puszcę, w której na każdym kroku napotyka się na ślady nierównej — trwającej nieustannie w przyrodzie — walki. Wszystko co młode i krępkie pnie się w górę, ku słońcu, przytłaczając bezlitośnie każdy słabszy organizm.

Znawca przyrody znajdzie na wyspie kilka ciekawych zagadek. Skąd np. wzięła się tutaj rzadko u nas spotykana i hodowana tylko w parkach lipa krymska? Jakim sposobem zawędrowała tu pokrzywa konopolistna pochodzenia syberyjskiego, lub rzadki u nas krzew czarnej porzeczki? Dlaczego wreszcie występują tutaj nie spotykane w pozostałych okolicach Jeziora Wolsztyńskiego dwie rośliny o znaczeniu leczniczym: czworolist pospolity i pierwiosnek lekarski? Ostatni — o kwiatach żółtych jest szczególnie wartościowy, gdyż korzeń jego zawiera saponinę — substancję o charakterze glikozydów, zwiększającą wydzielanie śliny, soku żółdkowego i notu.

Opuściliśmy wyspę, a prąd rzeczki Dojcy płynący środkiem jeziora poniósł nas daleko — ku jego północnym brzegom. Bardziej do dółki i pierwotna okolica. Z trudem łódź toruje sobie tutaj drogę

wśród tysięcy szerokolistnych lilii wodnych, wystających korzeni i wodorostów. Ta wodna przestrzeń to prawdziwy raj wszelkiego rodzaju ptactwa i żarłocznych drapieżców gębin — szczupaków. W ukrytych przed okiem ludzkim zatokach można swobodnie wypoczywać i poddać ciało do broczynnej kąpieli słonecznej.

Horyzont barwił się purpurą zachodu. Trzeba było powracać. Łagodny wiatr smagał opalone na brąz plecy, a miarowe ruchy wiosel zbliżały nas coraz bardziej ku przystani.

Park wolsztyński należy niewątpliwie do najpiękniejszych w Wielkopolsce. Wprawdzie drzewostan jego nie jest zażytkowy, ale tym niemniej urzeka zestawieniem swego kolorytu. Na tle jasnej zieleni krzewów i olszyn aż mienia

poni i Chin. Drzewo to uważane dawniej przez Chińczyków jako święte, sadzono zwykle koło świątyni. Dzisiaj rzadkie bardzo w swej ojczyźnie przedstawiane bywa często w rzeźbie chińskiej. Warto dodać, że drzewo to jest okazem niezwykle starym, gdyż ślady jego występowania sięgają karbonu czyli formacji węglowej. Interesującym szczegółem parku jest także dąb z rzeźbami głów diabłów — dłuta Marcina Rożka, nie żyjącego już artysty-rzeźbiarza, osiadłego przed wojną w Wolsztynie. Z rzadszych okazów roślin spotykamy w parku: masowo bluszcz (roślina chroniona), przebiśnieg pospolity — kwitnący wczesną wiosną i występujący szczególnie w Karpatach oraz roślinę runa — zawilec gajowy, będący byliną z rodziny jaskrowatych.



Park nad Jeziorem Wolsztyńskim

się barwy sąsiadujących z sobą potężnych buków czerwonych, okazałych dębów i ciemnych, wysokopiennych świerków.

Napotykać tu także niezwykle rzadki u nas okaz drzewa — miłorząb, występujący w Wielkopolsce na trzech tylko stanowiskach (prócz Wolsztyna w poznańskim Ogrodzie Botanicznym i w parku w Wagrowcu). Miłorząb (ginkgo) jest drzewem dwupiennym, pochodzącym z Ja-

interesującą budowlą w parku jest spalony wskutek działań wojennych pałac, wybudowany w poł. XIX wieku przez Mycielskich. Z budowli tej przypominającej warszawski Pałac Łazienkowski, pozostały mury zakończone kamienną balustradą oraz piękny architektonicznie fronton o sześciu wysokich kolumnach jońskich.

Były próby uratowania tego zabytku. Po wojnie chciały pałac odremontować i urządzić



„Foto-Irena“ Wolsztyn (2)

Jednym z piękniejszych gmachów Wolsztyna jest Państw. Szkoła Ogólnokształcąca stopnia licealnego

w nim dom wczasowy Zakł. im. J. Stalina w Poznaniu. Zwieziono nawet cegły i potrzebne materiały — cóż, kiedy ta słuszna inicjatywa rozbiła się o nieublagane stanowisko ówczesnych władarzy miasta, którzy poniesieni partykularną ambicją uparli się, by urządzić tu własny ośrodek zdrowia. Niestety — na realizację tych zamierzeń Wolsztyn nie posiadał kredytów. Obecny ruchliwy gospodarz miasta, przewodniczący Prezydium MRN — Szczepan Michalak chętnie oddałby ten obiekt Zakł. im. Stalina, lub jakiegokolwiek instytucji, która wykonałaby remont pałacu i użyła go do własnych celów. W odbudowanym pałacu mógłby znaleźć pomieszczenie wspaniały dom wczasowy, ognisko kultury plastycznej lub wojewódzki ośrodek krajoznawczy. Spieszny remont pałacu leży niewątpliwie w interesie miasta. Trzeba, by sprawą tą zajął się — póki nie będzie za późno — wojewódzki konserwator zabytków. A jeśli nie znajdą się kredyty na odbudowę, trzeba przynajmniej mury pałacu zabezpieczyć, gdyż w obecnym stanie szybko ulegną one zupełnemu zniszczeniu.

Krajoznawcy i miłośnicy wycieczek znajdują jednak temat dla swych zainteresowań nie tylko wśród jezior i pięknej okolicy Wolsztyna, ale również w samym mieście. Warte jest zobaczenia dom Marcina Rożka (przy ul. 5 Stycznia 34) z rzeźbami dłuta tego

artysty i dom (przy ul. Walki Młodych 12) w którym jakiś czas mieszkał Robert Koch (1843—1910) — światowej sławy lekarz i bakteriolog niemiecki, odkrywca prątka gruźlicy i zarazka cholery. Miłośnik architektury chętnie obejrzy kościół pobudowany w stylu barokowym w 1767 r. przez kasztelana Rogozińskiego — Rafała Ostoję Gajewskiego, z freskami sprzed r. 1778, pędzla artysty malarza Jana Byszowskiego.

W Wolsztynie znajduje się także — najpiękniejszy w Wielkopolsce — cmentarz bohaterów radzieckich poległych w walkach o wyzwolenie naszej ziemi z okupacji hitlerowskiej. Świeże zawsze kwiaty i wieńce składane na mogiłach, świadczą o pietasznie i żywej pamięci, jaką społeczeństwo wolsztyńskie otacza ten cmentarz.

Wystarczy krótka przechadzka po mieście, by stwierdzić, że Wolsztyn jest miastem pięknym i czystym. Pełno tu zieleni, barwnych kwiatników i ogródków wokół domów i will. Władze miejscowe skrzętnie zabiegają o estetyczny wygląd miasta i jego unowocześnienie. Przyczyniają się do tego chętnie sami wolsztyniacy, spokojni i pracowici obywatele.

Tak — warto Wolsztyn zwiedzić, poznać jego piękno, zabytki i ludzi. Jeśli wam czas pozwoli, wybierzcie się tam w jedną z niedziel.



Mapka Wolsztyna i okolicy

zym powietrzem, a ponadto zobaczysz i poznasz jeden z najbardziej interesujących zakątków Wielkopolski.

To pewne: Wolsztyn i okolica potrafią zachwycić.

Wolsztyn — gród stary, bo znany już w 1423 roku rozsiadł się wśród jezior. W bliskiej okolicy miasta jest ich aż cztery, a cały powiat porzeczniany wstęgami rzek, kanałami i wielu potężnymi jeziorami, tworzy przepiękną krajinę, dogodną dla turystyki, obozów letnich i wakacyjnego wypoczynku.

Nad Jezioro Wolsztyńskie i do położonego nad jego wy-

WAGONY

Jacek Milczewski

sążerski poszedł w dół. Rany boskie, co to będzie.

Maszynista zamknął parę.

— Bocznicy wolnej nie masz?

— Nie mam. Wszystkie cholera z wagonami.

— A ta do kamieniołomów?

— Zajęta. Cztery wagony.

— Co w nich?

— Maszyny. Coś ważnego. Franek, Franek, co my zrobimy!

— Rzucaj węgiel! Dużo! — krzyknął Franek do pałacza, a potem do naczelnika. — Przekładaj zwrotnicę na kamieniołom!

— Co robisz?! Wykoleisz się na nasypie.

— Przekładaj! — ryknął maszynista.

Przetokowi stali parę sekund. Brygadziata Wrębiec znieruchomiał, a potem dmuchnął przeraźliwie w gwizdek.

— Podkłady! Rozumiecie? Jak Franek nie zdąży, wykoleimy wagony przed stacją.

Pobiegli na koniec torów. Czerwoni z wysiłku ciągnęli ciężkie pokłady blisko szyn.

— Ułożymy je na krzyż! — rozkazywał Wrębiec. W ostatniej chwili.

Parowóz Franke wjeżdżał na nasyp. Stapacz wskoczył na schodki parowozu, bo nie byłoby komu zczepić wagonów. Stęknęły od uderzenia buforów

— Prędejl! Prędejl! — gorączkował się maszynista.

— Gotowe?

— Gotowe! Ruszaj!

Zelazne koła obróciły się w miejscu. Piasek!

Więcej pary! Biały słup zgnął niebo. Jadą!

Z góry od Gierkowic toczyły się w szaleńczym pędzie wagony. Słychać było jak dudnią po moście. Do Karlic tylko półtora kilometra. Przetokowi podnieśli podkłady.

— Jeszcze nie — rozkazał Wrębiec. — Może zdąży.

Franek przyciska dźwignię pary do samego dołu. Sypie piasek pod koła. Jeszcze dwieście metrów, sto. Wagony ukazały się na zakręcie. Za pół minuty będą na torach stacji.

Wrębiec nie mógł się zdecydować. Ostatnia chwila. Za sekundę będzie za późno.

— Czekać! — krzyczał bez powodu — zdąży, zdąży!

Parowóz ciągnący wagony minął zwrotnicę. Stapacz wyskoczył. Wiatr rozwiewał mu resztki włosów na lysiej głowie. Kurczowo chwycił ciężką przekładnię zwrotnicy. Jeszcze chwila. Dwie sekundy. Można! Zgrzytnęła zwrotnica. Biała strzałka na kwadratowej lampie zmieniła kierunek. Naczelnik wyjął chusteczkę i otarł pot. W tej właśnie chwili wpadły w uchwyt zwrotnicy zwiariowane wagony.

— Franek! Wal za nimi do kamieniołomów — zawołał naczelnik a sam poszedł w kierunku budynku stacyjnego. Zakreślił korbą telefon.

— Wagony z Gierkowic zatrzymane. Żaden się nie wykoleił.

Po chwili dzwonek.

— Świątkowo. Pociąg pasażerski nr 94567 przyszedł o czasie.

Dyżurny ruchu siadł na krześle i zapalił papierosa. Od kamieniołomów szedł długi, ostry gwizd lokomotywy Franke, a po chwili jeden krótki. Znaczący się pojechał z wagonami do stacji. Stapacz podszedł do przekładni by innym pociągom zamknąć dostęp do stacji czerwonym ramieniem semaforu.